

Pierwsze kroki

W pochmurne popołudnie, 24 czerwca 1998 roku, stanąłem na boliwijskiej ziemi. Nie ucałowałem jej tak, jak to uczynił Ojciec św. Jan Paweł II w maju 1986 roku, ale wiedziałem, że ma ona być moją nową ojczyzną.

Sześć godzin różnicy czasu, około 30 godzin podróży zrobiły swoje. W kaplicy klasztornej odprawiłem Mszę św. i poszedłem spać. O godzinie 20.00 była kolacja. Zostałem oficjalnie powitany przez Prowincjała o. Carlosa Folgado ofm. Dokonał się też mój powtórny „chrzest”, czyli wybór imienia. Moje zakonne imię Lech czytane według reguł języka hiszpańskiego by brzmiało „Leć”. Tyle już wiedziałem, że aby wymawiali je poprawnie trzeba by było pisać „Lej”, a to mi się nie podobało. Na Zdzisławie (moje imię od chrztu) połamali by sobie języki. Na szczęście, przy na chrzcie dostałem też drugie imię Andrzej. Po hiszpańsku Andrés. No i tak zostało: Padre Andrés.

Następnego dnia rozmowa z Prowincjałem. O. Simeón robił za tłumacza. Dowiedziałem się, że będę mieszkał w klasztorze San Francisco, który jest domem prowincjalnym i seminarium. Mam iść na kurs języka hiszpańskiego. O. Simeón ma mnie zapisać. Do czasu rozpoczęcia kursu mam dużo spać, bym się przyzwyczył do nowego czasu. Wtedy to stałem się chyba najpłuszniejszym zakonnikiem. Czyż można nie wypełniać takiego polecenia?

Następnego dnia pojechaliśmy z o. Simeonem do „Instituto de los Idiomas”, by zapisać mnie na kurs; lekcje miały rozpocząć się dopiero 6 lipca. Jeszcze tego samego dnia wieczorem o. Simeón wyjechał. Zostałem sam, choć w klasztorze było około 30 współbraci. Z pomocą słownika, rąk, długopisu i kartki mogłem porozumieć się w najprostszych sprawach i to było wszystko. Jednak trzeba było rozpocząć normalne życie, ale jak tu wyjść, coś kupić, gdy nie znam języka? Wielki przełom nastąpił, gdy okazało się, że nie mam już papierosów. Wszedłem na ulicę. W pierwszym napotkanym straganie pokazałem palcem na papierosy, na palcach pokazałem ile paczek, a na podanej przeze mnie karcie sprzedawczyni napisała cenę. Zapłaciłem i szczęśliwy wróciłem do klasztoru. Od tej chwili zacząłem być samodzielny. Mogłem kupić kartki pocztowe. Na poczcie mogłem je wysłać. Kupiłem najpotrzebniejsze rzeczy. Choć dziś wiem, że wiele razy przeplaciłem, ale przynajmniej czegoś się nauczyłem.

O. Simeón miał wrócić w niedzielę wieczorem, by w poniedziałek 6 lipca zawieźć mnie do Instytutu. Wieczorem nie dojechał. A w poniedziałek, o

godzinie 7 rano jeszcze go nie było. Przypuszczałem, że lekcje zaczynają się o godzinie 8.00, bo klerycy też zaczynali o tej godzinie swoje wykłady. Co robić? Czekać? Jechać samemu? Wiedziałem jaki autobus przejeżdża koło Instytutu. Ale czy rozpoznam miejsce, w którym mam wysiąść? O godzinie 9 o. Simeona jeszcze nie było, więc poszedłem na autobus. Dodawałem sobie odwagi tym, że w przeszłości będę wspominał, jak to w pierwszy dzień spóźniłem się na lekcje.

Szczęśliwie dotarłem do Instytutu. Sekretarka zaprowadziła mnie do jakiegoś gabinetu, w którym zostałem przyjęty przez dwie panie, i znów, z pomocą słownika, rąk, długopisu i kartki wytłumaczyły mi, że do piątku będę miał tylko jedną lekcję dziennie i będzie ona zaczynała się o godzinie 11.15. Stąd prosty wniosek, że zamiast spóźnić się, przyjechałem dwie godziny za wcześnie. Także z pomocą słownika, rąk, długopisu i kartki odpowiedziałem im, że wracam do klasztoru, aby jeszcze godzinę pospać. Trzy razy dopytywały się, po co wracam do klasztoru. Do końca nie były pewne, czy dobrze zrozumiałem. Jednak kiedy wróciłem na moją pierwszą lekcję nauczycielka zapytała się, czy dobrze spałem przez tę godzinę. Pewnie, że tak!

Na planie zobaczyłem, że wszyscy zaczynają lekcję o godzinie 8.00 tylko ja jeden zaczynam o 11.15. Wkrótce się okazało, że wszyscy obcokrajowcy przez pierwszy tydzień przechodzą torturę wymowy liter. Polaków ta „radość” omija. A że byłem jedynym Polakiem w całej grupie, więc miałem przywilej dłuższego spania.

Przy tej okazji trzeba coś wyjaśnić. Mówi się, że prawie cała Ameryka Południowa mówi po hiszpańsku. Nie jest to do końca prawdą. Tutaj się mówi w castellano, to język, którym kiedyś mówiła jedna prowincja Hiszpanii - Castilla. Między tymi dwoma językami jest znaczna różnica w wymowie kilku liter; w castellano wymowa jest bardzo podobna do polskiej. Także, w odmianie czasowników nie istnieje druga osoba liczby mnogiej. Również budowa zdań jest dość podobna do języka polskiego.

W Polsce przez pięć lat byłem katechetą i uczyłem w szkole, a teraz sam zostałem uczniem - nie jest łatwo przestawić się z belfra na ucznia. Lekcje od poniedziałku do piątku. Cztery godziny dziennie. Każda godzina z innym nauczycielem. Po dwóch tygodniach zmiana ekipy nauczycieli - i tak przez pięć miesięcy. Oficjalną nazwę szkoły „Instituto de los Idiomas” (instytut języków) uczniowie przemianowali na „Instituto de los Idiotas” (nie trzeba chyba tłumaczyć). Dużo w tym prawdy. Coś do ciebie mówią, a ty nie masz zielonego pojęcia, o co im chodzi. I nie wiesz, czy mówią do ciebie, czy o tobie. Nie wiesz, czy prawią ci komplementy, czy też, ze słodkim uśmiechem na ustach, sobie z ciebie kpią.

Uczyłem się 24 godziny na dobę! Oczywiście, nie byłem żadnym kujonem i książka mnie pażyła. Jednak, gdzie się człowiek nie ruszył, wszędzie castellano: w kościele, w klasztorze, na ulicy, w sklepie, no i przede wszystkim w Instytucie.¹ Nauczyciele starali się tak uczyć, by uczniowie nie tylko mówili po hiszpańsku, ale też w tym języku myśleli. Dlatego, podczas całego kursu, do słownika zaglądnąłem zaledwie kilka razy i to tylko wtedy, gdy jakieś pojęcie było tak abstrakcyjne, że nie dało się go wytłumaczyć lub dla potwierdzenia, że zrozumiałem dobrze to, co mi wyjaśniali.

Msze św. odprawiałem sam, w kaplicy klasztornej. Najpierw tylko po polsku. Później już tylko czytania po polsku, a części stałe po hiszpańsku. Po jakiś trzech miesiącach już wszystko po hiszpańsku. W dniu 11 listopada postanowiłem odprawić po polsku. Wszystko szło dobrze do ofiarowania. Kiedy uniosłem patenę odmawiając z pamięci modlitwę, uświadomiłem sobie, że zamiast powiedzieć: „Błogosławiony jesteś Panie, Boże wszechświata...”, powiedziałem: „Bendito seas Señor, Dios del universo...”

Większość uczących się ze mną na kursie to byli księża, zakonnicy i zakonnice. Jednak w programie nie był przewidziany „język kościelny”, typowe słowa, pojęcia używane w Kościele. Jedna z nauczycielek i to chyba wbrew swojej woli, nauczyła mnie właśnie tego słownictwa, które potem, w pracy duszpasterskiej było najbardziej potrzebne. Kobieta rozwiedziona, z trójką synów, poraniona. Uważała się za chrześcijankę. Jej chrześcijaństwo polegało to na tym, że w jedną niedzielę szła na Mszę św. do jakiegoś kościoła, bo tam ksiądz mówił ładne kazania. W drugą niedzielę szła do zboru protestanckiego, bo tam był chór, który ładnie śpiewał. W trzecią niedzielę jechała na wycieczkę, by spotkać Boga w przyrodzie. A kolejna niedziela z Bogiem nie miała nic wspólnego. Miała wiele zastrzeżeń do Kościoła katolickiego. Jednak te zastrzeżenia były na poziomie sensacyjnych skandali z gazet brukowych. Zdawałem sobie sprawę, że moje słowa nie przebiją się przez skorupę jej argumentów, które były usprawiedliwianiem samej siebie i swoich życiowych pomyłek. Jednak jako nauczycielka musiała mnie nauczyć poprawnego mówienia. Pewnego dnia zdarzyła się zabawna historia. Po jednej z lekcji pełnej zażartej dyskusji, wyszliśmy razem z klasy na korytarz. Spotkała nas inna nauczycielka. Moja dyskutantka zwróciła się do niej:

- Mieliliśmy dzisiaj bardzo ciekawą dyskusję.
- Na jaki temat? - zapytała tamta nauczycielka.
- Na temat Boga, wiary, zasad moralnych - odpowiedziała.

¹ Nauka trwała nawet podczas snu, bo z głośników w pobliskim barze bardzo głośno muzyka ze śpiewami po hiszpańsku leciała przez 24 godziny na dobę.

- Interesujące.

- A ty też dyskutujesz ze swoimi uczniami na takie tematy? - zapytała moja dyskusantka.

- A po co? - zapytała tamta nauczycielka.

- Jak to, po co? Przecież... - nie zdążyła dokończyć, gdy padła odpowiedź tamtej:

- Ja wierzę w Boga!

Moja dyskusantka zrobiła się czerwona, nic już nie powiedziała. To była moja ostatnia lekcja z nią, a kurs dobiegał końca.

I jeszcze jedno zabawne zdarzenie. Jedną z uczestniczek kursu była zakonnica, która przyjechała do pracy na misjach w jednym z krajów Ameryki Łacińskiej. Nie było by w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że przyjechała z... Ghany. Murzynka urodzona i wychowana w Afryce. Kiedyś powiedziała mi, że w jej kraju nie ma Polaków.

- Z tego, co wiem jest tam wielu polskich werbistów - powiedziałem.

- Nie ma żadnych Polaków - powtórzyła z całą pewnością.

- Lepiej powiedz, że ty nie spotkałaś żadnego Polaka – skwitowałem.

Podczas uroczystości na zakończenie kursu zaśpiewała pewną piosenkę. Wszystkim się bardzo podobało. Po skończonej uroczystości powiedziałem:

- Kiedyś mówiłaś, że nie ma Polaków w Ghanie.

- Nie ma - odrzekła.

- A ta piosenka, którą śpiewałaś... gdzie się jej nauczyłaś, tutaj, czy w Ghanie?

- W Ghanie - odpowiedziała.

- A wiesz, że słowa i muzykę do tej piosenki napisała jedna zakonnica w Polsce.

- Ale słowa są angielskie - zaczęła się bronić.

- Pewnie, że angielskie, bo ktoś to przetłumaczył z polskiego.

- Możliwe. - podsumowała - Pewnie w Ghanie są Polacy, ale ja ich nie spotkałam.

Jaki ten świat mały. Gdzie nie ma Polaków?

Muszę się przyznać, że po pierwszych trzech miesiącach miałem już serdecznie dosyć tego kursu. Pewnie, że moja znajomość hiszpańskiego była bardzo nikła, ale człowiek przyjechał pełen zapału, a tu lekcje, lekcje i nic więcej. Taka monotonia zabijała mnie. W dodatku, spotkania z naszymi ojcami utwierdzały mnie w przekonaniu, że pracy mają aż za dużo, a ja się tu nudzę. Chciałem iść do Prowincjała i prosić, żeby wysłał mnie na jakąś placówkę, a resztę już sam się douczę. Prawdę mówiąc, w to samodouczenie zbytnio nie wierzyłem. Jakim kurs dokończyłem, a jakim cudem przetrzymałem ten czas, tego sam nie wiem.

Małymi przerwami w całej monotonii kursu były trzy wyjazdy. Pierwszy, z grupą uczestników kursu dla wychowawców z różnych zakonów i zgromadzeń. Na początku sierpnia pojechaliśmy do Concepción² i Ascensión de Guarayos. W Concepción miejscowy Biskup Antonio Eduardo Bösl ofm powitał mnie słowami:

- Witaj na „ziemi obiecanej”. Kiedy przyjedziesz na stałe do Wikariatu?³

To pytanie było podyktowane faktem, że podczas swojej wizyty w Boliwii, Prowincjał o. Adam Sikora zapowiedział mój przyjazd do pracy właśnie w tym Wikariacie. W Ascensión po raz pierwszy spotkałem się z naszymi współbraćmi - Polakami, którzy pracują w Wikariacie. To był też mój pierwszy pobyt w tropikalnej części Boliwii. Drugi wyjazd był do La Paz, Copacabany i Coroyco, a trzeci do Chapare. Te dwa ostatnie wyjazdy były z innymi uczestnikami kursu języka hiszpańskiego.

Wreszcie 4 grudnia kurs dobiegł końca. Po południu miałem spotkanie z Prowincjałem. „Wyrok” zapadł: Parroquia del Hospicio en Cochabamba⁴.

Boże Narodzenie bez śniegu

Zanim dotarłem do nowego klasztoru, najpierw był wyjazd do Puerto Quijarro. Cochabamba ma bardzo umiarkowany klimat. Nic dziwnego, bo choć to strefa podzwrotnikowa, ale miasto leży na wysokości 2650 m n.p.m. Puerto Quijarro jest położone we wschodniej, tropikalnej części Boliwii nad samym Pantanalem⁵, przy granicy z Brazylią. Kiedy wieczorem przyleciałem do Santa Cruz, było +28°C. Duszno, powietrze bardzo wilgotne, nie było czym oddychać, a pot lał się ze mnie strumieniami. W nocy nie zmrzyłem oka. Co godzinę wchodziłem pod zimny prysznic i bez wycierania kładłem się na łóżko. Materac szybko zrobił się wilgotny, a i tak cały czas był ciepły. O godzinie 5.30 pojechałem na lotnisko. Nawet tak wcześnie rano, nie było wcale lepiej. Przyjemniej zrobiło się w klimatyzowanym budynku lotniska. Zastanawiałem się, jak zniosę pobyt w jeszcze gorętszej części Boliwii.

² W języku hiszpańskim „ó” czyta się jak zwykle „o” a kreska w tym wypadku jest miejscem padania akcentu w wyrazie.

³ Mowa tu o Wikariacie Apostolskim Ñuflo de Chávez. Wikariat Apostolski jest samodzielną jednostką administracyjną w Kościele, jej ordynariusz jest zależny bezpośrednio od Papieża tak, jak każdy ordynariusz diecezjalny. Wikariat Apostolski jest jednostką przejściową na drodze do utworzenia nowej diecezji.

⁴ Parafia “El Hospicio” w Cochabambie.

⁵ Pantanal jest rozlewiskiem rzeki Paragwaj na granicy między Boliwią i Brazylią.

Przecież od tego zależało, czy kiedyś będę mógł pracować w tropiku. Samolot wystartował o godzinie 7.00. Po półtoragodzinnym locie znalazłem się w Puerto Suárez. Wsiadając z samolotu poczułem gorące powiewy wiatru, ale nie było tak upalne jak w Santa Cruz. Na lotnisku czekał już na mnie proboszcz z Puerto Quijarro, o. Cezary⁶, franciszkanin z Prowincji katowickiej. Poznaliśmy się tuż przed moim wylotem do Boliwii. On był wtedy na urlopie w Polsce i przyjechał na moją Mszę św. pożegnalną w Jarocinie, gdzie głosił kazanie. Po przejechaniu jakiś 15 km byliśmy już w jego parafii. Gdy wysiadłem z samochodu, wreszcie odetchnąłem chłodniejszym powietrzem. Powiedziałem więc:

- W nocy w Santa Cruz było +28°C, taka duchota i gorąco, że nie było czym oddychać. Tu przynajmniej jest chłodno.

- Chłodno? - o. Cezary zapytał zdziwiony - Zobacz termometr.

Gdy spojrzałem na termometr, mało się nie przewróciłem, pokazywał w cieniu +37°C. Powietrze nad Pantanałem jest zupełnie inne niż w wielkim mieście, stąd to złudzenie, że tutaj nie ma takiego upału.

W Puerto Quijarro przeszedłem mój liturgiczny „chrzest bojowy”. Któregoś dnia poszliśmy z proboszczem do kościoła, by przygotować wszystko, co potrzebne do chrztu. Wówczas zaproponował, bym to ja chrzczył. Zgodziłem się. Kiedy mieliśmy wychodzić z kościoła, przyszła do proboszcz jakaś pani. Nie pamiętam już, o czym rozmawiali, ale na końcu ona poprosiła o spowiedź. Proboszcz zwrócił się do mnie:

- Może ją wypowiadasz?

- Nie umiem formuły rozgrzeszenia po hiszpańsku - odpowiedziałem.

- To powiesz po polsku - skwitował.

- Ale nie jestem pewien, czy ona zrozumie mój hiszpański.

- Zrozumie. - odrzekł, a do niej powiedział - On dopiero kilka dni temu skończył naukę hiszpańskiego, więc rozgrzeszenie powie po polsku.

No i poszedłem do konfesjonału. Tak to, pierwszy raz spowiadałem po hiszpańsku. O tyle miałem łatwiej, że już prawie od trzech miesięcy, tak jak potrafiłem, sam spowiadałem się po hiszpańsku u jednego z naszych ojców, który był boliwijczykiem. Kobieta się wypowiadała, potem się pomodliła. Proboszcz czekał za nią, by dokończyć załatwianą przez nią sprawę. Podeszła do nas i powiedziała:

- Ojciec już dobrze mówi po hiszpańsku.

⁶ O. Cezary Domagała ofm wówczas był proboszczem w Puerto Quijarro, potem Hospicio w Cochabamba, a obecnie jest w San Javier w Wikariacie Nuflo de Chávez.

Miło słuchać takich komplementów, ale dobrze zdawałem sobie sprawę, że mówiłem jak murzyn w „Pustyni i w puszczy”: Kali być głodny, Kali zabić lwa. Następnym moim „wyczynem” był chrzest. Czasami, jesteśmy znudzeni Mszą św. i mówimy, że stale to samo, że nic nowego... ale ma to swój wielki plus - na całym świecie liturgia jest zawsze taka sama, tylko w różnych językach. Podobnie jest z chrztem. Wszystko tak samo, tylko inny język. No i dla celebrysa takiego jak ja nie pozostaje nic innego, jak nauczyć się dobrze czytać. Chrzest też jakoś poszedł. Lecz najtrudniejszą rzeczą było odprawienie Mszy św. W jedną z niedziel wypadło tak, że proboszcz musiał odprawić cztery Msze św. i z tego dwie o tej samej godzinie w dwóch różnych miejscach. Jedną więc przypadła mi i to w dodatku z kazaniem. Pamiętam, jak mi się plątał język przy czytaniu każdego z tekstów. Pamiętam, że zrobiłem masę błędów podczas mówienia kazania. Dobrze, że ludzie wiedzieli, kim jestem i, że dopiero co ukończyłem kurs; gdyby nie to, pewnie by myśleli, że jestem zdrowo „naprany”. Gdybym wtedy zamiast po hiszpańsku, odprawiał po polsku, zrozumieliby tyle samo, to znaczy - nic. Ufam jednak, że Dobry Bóg uzupełnił to wszystko, czego z mojej strony brakowało.

Głównym celem mojego wyjazdu do Puerto Quijarro było przeżycie Bożego Narodzenia wśród współbraci. No i tak się stało. W Wigilię uiedliśmy do Wieczerzy. Był z nami również o. Eugeniusz⁷, który mieszka i pracuje w Arroyo Concepción (sąsiednia parafia). Na stole znalazł się opłatek, zupa owocowa, pieczona ryba i kapusta z grzybami. Potem wsólnie śpiewaliśmy polskie kolędy. Wszystko prawie tak po naszemu. Trochę tylko dziwnie, bo wieczerzę jedliśmy na dworze mimo, że bardzo się ochłodziło i było „tylko” +28°C. O godzinie 22.00 rozpoczęła się Pasterka. Po niej, według boliwijskiej tradycji, rodziny gromadzą się na uroczystej kolacji. Z proboszczem dostaliśmy zaproszenie do kilku domów. Udało się dotrzeć tylko do trzech (niestety, mamy tylko po jednym żołądku).

Tamtego roku dzień 25 grudnia przypadł w piątek. Msze św. były według porządku niedzielnego. Ale 26 grudnia był już nolmarnym dniem roboczym, tyle tylko, że właśnie przypadła sobota - dzień wolny. Tego dnia rano obudziło mnie pukanie do drzwi i głos o. Cezarego:

- Jyndrek! Wstowej, kawa już żech zrobiol.

Wstałem. Kiedy już usiedliśmy do kawy, o. Cezary (rasowy Hanys z Katowic Panewnik) powiedział:

- Dzwoniłech już do doma. Pado śnieg i temperatura ponizej zera.

⁷ O. Eugeniusz Kantor ofm - pochodzi z Prowincji Wniebowzięcia N.M.P. w Katowiczach.

- A wiesz, że w Polsce już jest druga po południu? - zapytałem.

- Ja, nasi idom na kolende. To im d... przymarznom - filozoficznie podsumował o. Cezary.

Święta minęły, a potem rozpoczął się rok 1999. Cochabamba z nową parafią już czekała, więc na 3 stycznia miałem zarezerwowany lot. Niestety, samolot nie przyleciał. Następnym lot był 6 stycznia i dopiero tego dnia mogłem polecieć. Dnia 7 stycznia było pakowanie się i sprzątanie pokoju, a w piątek, 8 stycznia przeprowadziłem się do „Hospicio”.

Tak to przeżyłem pierwsze Boże Narodzenia w Boliwii i ostatnie obchody tych świąt po polsku. Następne święta już były po „boliwijsku”.

Przy okazji tych świątecznych wspomnień nasuwa mi się pewna refleksja. Kiedyś w Boże Narodzenie, gdy jeszcze byłem w Polsce, usłyszałem takie bardzo pobożne wezwanie w „Modlitwie powszechnej”: „Módlmy się z polskich misjonarzy, którzy z dala od Ojczyzny i od najbliższych, w samotności muszą przeżywać te święta, by...” Trochę to smutne, bo brzmi jakby modlitwa za zesłańców na Sybir. Jest to faktem, że jesteśmy daleko od Polski, ale Bóg obdarował nas drugą ojczyzną. Jest też faktem, że jesteśmy daleko od naszych krewnych, od współbraci, z którymi przez kilka, czy kilkanaście lat byliśmy w klasztorach. Jednak otrzymaliśmy od Boga „nową rodzinę”, którą są ludzie powierzeni naszej pieczy duszpasterskiej, otrzymaliśmy innych współbraci z tutejszej Prowincji. Nie „musimy” być tutaj; przyjazd na misje był naszym wolnym wyborem, całkowicie dobrowolną odpowiedzią na Boże wezwanie. I pewnie, że gdy nadchodzą Święta Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, wspominamy lata w rodzinnym domu, tę szczególną, polską atmosferę świętowania, ale jest to trochę tak jak z dorosłymi dziećmi, które założyły swoje rodziny, wyszły od rodziców; choć wspominają święta z dzieciństwa, lecz w swoich nowych rodzinach tworzą własną tradycję. Mogę zapewnić, że Boże Narodzenie bez śniegu i przy +30°C też ma swój urok, bo jest pamiątką tego samego misterium: przyjścia na świat Bożego Syna.